

Piotr Hajduk

Taka jest wojna

Rocznik Chojeński 4, 329-354

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TAKA JEST WOJNA

Kochana Córko!

Chciałabyś, abym jak najwięcej spisał swoich wspomnień. Interesuje Cię chyba okres od 1 września 1939 r. do maja 1945 r., kiedy wojna się zakończyła. Chciałbym też Ci trochę napisać o mojej wsi, gdzie się urodziłem, wychowałem, uczyłem w szkole i mieszkalem do 1940 r., no bo w 1940 r. byłem już za Uralem.

W 1956 r., kiedy miałaś trzy i pół roku, byliśmy w moich rodzinnych stronach z Tobą i z Krysią. Nie wiem, czy o tym pamiętasz. Jak przyjechaliśmy do Kowali, nie chciałaś wysiąść z wozu. Mówiłaś: „*To nie jest nasz dom, wracajmy!*”. Są to strony zamieszkałe dawniej przez kilka narodowości, jak: Polacy, Białorusini, Żydzi (ci mieszkali przeważnie w miastach, choć też była wieś żydowska Konstantynowo koło Różany). Niedaleko ok. 30 km od Bajek urodził się Tadeusz Kościuszko. Nie ma już śladu jego dworku, został spalony. Jest tylko kamień, gdzie stał dom, a na nim wryty napis po rosyjsku, że urodził się tu Tadeusz Kościuszko – działacz polityczny. Jest to dezorientacja dla tych, co nie znają historii i nie wiedzą, kim był ten człowiek.

Wybuch wojny

W czasie, gdy bronila się Warszawa, a jednostki polskie walczyły z Niemcami nad Wisłą, 17 września 1939 r. Rosja, nie wypowiadając wojny, z drugiej strony od wschodu napadła na Polskę. Był to dzień (podobnie jak 1 września) pogodny. Po południu spotkałem kolegów, było już wiadomo, że ruszyła armia sowiecka. Pierwsze jechały czołgi. Było ich dość dużo, nawet nikt tego nie liczył. Nie zatrzymywały się. Później na samochodach jechała piechota.



Posuwali się bez oporu, nikt ich nie zatrzymywał. Jechali od Słonimia, Różany, do Prużan, Kobrynia i chyba do Brześcia. W Brześciu 18 września urządzono powitanie i defiladę wojsk niemieckich i sowieckich. Na drugi dzień była już artyleria oraz piechota. Co to było za wojsko! To obraz nędzy i rozpacz. Szare stare płaszcze, czapki ze szpicem u góry, buty ceratowe na gumowych podeszwach, do tego dziurawych. Żołnierze nosili długie karabiny na sznurkach albo parciany paskach. Gdy stanęli obok naszej wsi, natychmiast rozbiegli się po domach, aby kupić mleka czy też słoniny, którą u nas miał każdy. Pamiętam, że sprzedawano kilogram słoniny po 2 ruble, bo kosztowała

przedtem 2 złote. Przez pół godziny matka sprzedała połowę tego, co mieliśmy, a później powiedziała, że więcej nie ma, bo było ich w kolejce jeszcze kilku. Mówili, że przyszli ze wschodu, dać nam wolność, by nie gnębili nas obszarnicy i kapitaliści. Po ich prezentacji w dziurawych butach nawet mały dzieciak mógł zauważyć, jaka to będzie wolność. Nie dłużej jak po tygodniu, może dwóch, opustoszały sklepy tekstylne i spożywcze. Tłumaczyli, że mają trudności z transportem...

Nastał dzień 22 czerwca 1941 r. Byłem już w tym czasie na Uralu. Radio podało, że Niemcy przekroczyli granicę ZSRR, bombardują miasta. Poprzednio na często organizowanych mitingach politycy chwalili mądrość Stalina i partii. Wierzono w sojusz z Niemcami hitlerowskimi. Uznawano podział Polski za akt sprawiedliwości. Mówiono, że prędzej wyrosną im włosy na dłoni, niż Polska będzie wolnym państwem. Potępiano Zachód, a także Amerykę.

Gdy wybuchła wojna z Niemcami, stosunek do Polaków zmienił kurs o 180 stopni. Już w lipcu 1941 r. do Związku Radzieckiego przyjechał premier Rządu Polskiego na emigracji Władysław Sikorski i zawarł układ z rządem radzieckim, a następnie umowę wojskową, na podstawie której została utworzona armia polska. Po porozumieniu Stalin – Sikorski wydano dekret Rady Najwyższej ZSRR o udzieleniu amnestii obywatelom polskim. W lutym 1942 r. zaczął się pobór do wojska. Nie wszystkim udało się stawić do poboru, niektórzy musieli zostać w zakładach pracy, skąd nie chciano ich zwolnić. Dużej liczbie osób nie udało się dojechać do miejsca poboru w Buzułuku.¹

Polacy byli rozsiani po całym ZSRR. W wielu przypadkach utrudniano wyjazd, zatrzymywano pod byle pretekstem. Trafiłem do Buzułuku w końcu kwietnia 1943 r. W tym czasie zerwane już były stosunki rządu polskiego z rzą-

¹ Miasto w Rosji w obwodzie orenburskim, nad rzeką Samarą. W latach 1941-42 siedziba sztabu formującej się w ZSRR Armii Polskiej gen. Andersa.

dem radzieckim. Pobór do wojska polskiego wstrzymywano, a obywatelom polskim odbierano dokumenty. Armia Polska została skierowana na Bliski Wschód. Na jej bazie został utworzony 2. Korpus Polski, który od stycznia 1944 r. do końca wojny walczył na ziemi włoskiej. Tam też żołnierze polscy zdobyli wzgórze Monte Cassino, gdzie teraz u stóp klasztoru usytuowany jest cmentarz poległych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego. Podczas zdobywania klasztoru na Monte Cassino byli tam też Antoni Zając i Józef Ziola, którzy po wojnie zamieszkali w Góralicach i często o tym wspominali. Uczestnicząc w bitwie, widzieli tylko maleńki odcinek frontu. Każdy z nich myślał tylko o tym, aby jak najszybciej dojść do celu. Dochodzą tylko żywi, musiano więc iść i chronić się zarazem. Trzeba mieć wyczucie i do tego szczęście, aby nie wychylić się pod kule, które podczas każdego ataku lecą jak pszczoły, gdy się roją, bo Niemcy nie strzelają na wiat. Pozostają na miejscu, nie dochodzą do celu przeważnie ci, którzy wyszli pierwsi. Chociaż między tymi, co idą pierwsi, też duża część dochodzi do celu. Bohaterami zostają przeważnie ci, którzy są z tyłu i kierują frontem. W zgiełku walki nie dostrzega się bohaterów. Potem szybko się o nich zapomina, no bo wojna nie trwa tylko godzinę, ale całe lata.

To jest tak jak w wierszu chyba Konopnickiej „A jak poszedł król na wojnę”, a dalej jest o Jasiu i o tym, jak wracali. Król wrócił zwycięzcą i grały mu surmy złote, Jasiowi nad grobem dzwoniły dzwoneczki liliowe. Taka jest wojna i taka jest o niej prawda. Już prawie 50 lat minęło od zakończenia II wojny światowej, a nie ma dnia, by gdzieś nie toczyła się walka. Wszyscy walczą o sprawiedliwość, tylko tak naprawdę nikt nie wie, gdzie ona.

Po ewakuacji Armii Polskiej na Bliski Wschód do Iranu, wielu Polaków zostało jeszcze na terenie ZSRR. W końcu kwietnia 1943 r. powstał Związek Patriotów Polskich i jego staraniem zaczęto tworzyć Ludowe Wojsko Polskie, którego dowódcą został były szef sztabu Wojska Polskiego, nazywanego Armią Andersa, Zygmunt Berling.

Do armii

W maju 1943 r. rozpoczęto pobór do tworzącej się I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Nie zdążyłem się stawić do pierwszego poboru. Był on przeprowadzony przez wojenkomaty radzieckie. Tak naprawdę to po ewakuacji na Bliski Wschód dowodzonej przez Andersa Armii Polskiej, do tworzącej się nowo armii nie bardzo wszyscy się spieszyli.

Dopiero w listopadzie trafiłem do I Dywizji im. T. Kościuszki w Sielcach nad Oką. Służyłem i walczyłem w tej jednostce od 19 listopada 1943 r. do

28 lipca 1945 r. Od 28 lipca 1945 r. służyłem w Pierwszej Grupie Operacyjnej Osadnictwa Wojskowego na Pomorzu, a konkretnie w Góralicach, gdzie Ty też się urodziłaś i spędziłaś część swego życia. W Góralicach poznałem Twoją matkę, która przyjechała jako repatriantka ze Wschodu. Ożeniłem się z nią w 1946 r. i tu zostaliśmy.

Do Wojenkomatu w Buzuluku trafiła nas cała czwórka prosto z sali sądowej. Sądzone nas za to, że nie mieliśmy stałego miejsca zamieszkania. Dostaliśmy po 2 lata, ale z odprawką na front. Ponieważ byliśmy Polakami, musieliśmy pójść do Ludowego Wojska Polskiego, co też się stało. Rano przed sprawą dostaliśmy po 200 g chleba i rzadką zupę. Po sprawie już przed południem przyprowadzono nas do Wojenkomatu, ale bez obstawy. Zaraz doszło jeszcze czterech oficerów rosyjskich, rannych, wypisanych ze szpitala. Komendant wezwał ich pierwszych. Oficerowie zdjęli kurtki watowane całkiem nowe, zostawili w poczekalni i weszli do komendanta. Jeden z nas nazywał się Zygmunt Pilitowski i miał na sobie podobną kurtkę wojskową, tylko że starą i zniszczoną. Jak tylko oficerowie zamknęli drzwi za sobą, natychmiast zdjął swoją kurtkę, założył nową kurtkę oficera i wyszedł. Nie trwało to nawet 10 minut, jak wrócił bez kurtki, miał bochenek chleba. Położył chleb, włożył kurtkę i usiadł jak gdyby nigdy nic. Oficerowie wyszli, a gdy brakło kurtki, zrobił się ruch. Pilitowski wstał i najspokojniej w świecie powiedział: „*Był tu tożę wasz oficer i kurtkę wziął*”. Wszyscy pobiegli szukać kurtki, ale chyba nigdzie jej nie znaleźli. Zawołano nas też wszystkich czterech do komendanta, ale my się nawet nie rozbieraliśmy. Trzech z nas skierowano do stacji Diwowo, a czwarty - Kola Gryszkiewicz został. Był cały opuchnięty, w więzieniu z głodu solił chleb, a później popijał wodą i wtedy człowiek puchnie. Ja natomiast, kiedy tylko było możliwe, starałem się wyjść do jakiejś pracy.

W Sol-Ilecku² stałem się bednarzem, robiłem beczki. Robił je mój ojciec i trochę z tego zapamiętałem. Pomogli mi też więźniowie Rosjanie, a także młody Żyd (blondyn), oni są przeważnie brunetami, nazywał się Daniel. Byłem prawie cały dzień na dworze na wolnym powietrzu, dostawałem 200 g chleba więcej i lepszą zupę. I tak w Buzuluku dostaliśmy suchy prowiant i komandirówkę do stacji Diwowo. Wsiadliśmy do pociągu w kierunku Sielc, na miejsce przybyliśmy nocą 18 listopada 1943 r. Wsiadliśmy z pociągu. Czekają na nas dwóch żołnierzy i porucznik. Zaprowadzili nas do baraków, gdzie stały drewniane piętrowe prycze, a w miejsce lampy stała łuska po wystrzelonym pocisku. Dawała tyle światła, że można było zobaczyć pryczę, na której ułożyliśmy się do snu. Rano pokazano nam drogę i poszliśmy piechotą do Sielc, do punktu zbiorczego nad

² Miasto w południowej Rosji, nad rzeką Ilek, na granicy między Europą i Azją, w obwodzie orenburskim, w pobliżu granicy z Kazachstanem

Oką. I znowu drewniany barak i prycze. Dano też śniadanie. Od tygodnia jadłem też pierwszy raz zupę – kapuśniak. Tego dnia przyjechali oficerowie różnych jednostek, aby uzupełnić swoje stany, bo było już miesiąc po bitwie pod Lenino. Byli z piechoty, z łączności, z czołgów. Zygmunt Pilitowski służył w wojsku przed wojną, przeszedł walki w 1939 r., powiedział nam, że możemy się zgłosić, ale jak będzie nabór do artylerii. Dopiero na trzeci dzień, gdy przyjechał oficer, by zwerbować dwie osoby do artylerii przeciwlotniczej, natychmiast zgłosiłem się z Józkiem Kalinką. Chłopak nie miał chyba jeszcze 18 lat. Stanęliśmy przed komisją. Porucznik od razu się na nas zgodził, bo do tego rodzaju broni potrzeba ludzi młodych. Zadanie musi być wykonane w sekundach. Nie było żadnych badań lekarskich, tylko pytanie: „Czy chcesz służyć w wojsku polskim?”. Naturalnie odpowiedź brzmiała: „Tak!”.

No i tak trafiłem do Pierwszego Samodzielnego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej I Dywizji im. T. Kościuszki. Dowódcą był major Włodzimierz Sokołowski - stary frontowiec, Polak urodzony w Rosji. Przyjął nas w swojej kwaterze w Sielcach. Wyglądał groźnie, szatyn z wąsami. Okazało się, że jest bardzo miły w obejściu. Opowiadał, jak w obronie Leningradu z zenitek trzeba było strzelać nie tylko do samolotów, ale także do piechoty i czołgów. Po rozmowie dostaliśmy obiad, a później przydzielono nas do pierwszej baterii SDAPlot, która stała na ochronie. I bateria! Dowódcą był porucznik Niewiarowski, bardzo miły i lubiany przez wszystkich. Przydzielono mnie do czwartego działonu na stanowisko obsługi trzeciego numeru. Musiałem ustalać szybkość i odległość samolotu. Trzeba było to robić szybko i do tego dwiema rękami na raz dwa mechanizmy. Dowódcą działonu był kapral Władek Bitkowski. Obsługę stanowili młodzi chłopcy i wszyscy bardzo zgodni. Nie pamiętam, aby się kiedyś o coś pokłócili; każdy robił swoje i to dokładnie. Kiedy później ruszyliśmy na front i przyszło się okopać, nawet dowódcy brali się za łopaty, aby nie być zaskoczonym przez samoloty. O bumelce i przerzuceniu roboty na innych nikt nawet nie pomyślał. Gdy przyszedliśmy do Diwowa, szef pierwszej baterii Kruszyna wydał umundurowanie. Dostałem drelichowy mundur i spodnie też drelichy, płaszcz (wiatrem podszyty), trzewiki i owijacze. Ciepłego ubrania nie było (możliwe, że szef przehandlował). Wcześniej umundurowani mieli watowane spodnie, kufajki i walonki. Staliśmy niby na obronie, ale cały dzień trwały ćwiczenia z krótką przerwą na obiad, a później po kolacji urządzano próbne alarmy. Zima była ostra, a do tego zimny wiatr przenikał do kości. Mieliśmy w działonie jeden kozuch dla warty nocnej, który dawano dla mnie na dzień, ale zimno zawsze idzie od nóg, na których miałem trzewiki i drelichowe spodnie. Gorzej było nocą podczas alarmów, kiedy kozuch miał wartownik, toteż koledzy nie kazali mi wychodzić w nocy na alarm. Watowane spodnie, kufajkę i walonki dostałem dopiero w grudniu, kiedy

naszą baterię przeniesiono do Sielc, a nasze miejsce zajęła druga. Dalej były ćwiczenia jak w Diwowie, z tym, że doszło jeszcze 15 minut gimnastyki na mrozie, rozebrani byliśmy do pasa bez koszulki. Ćwiczyliśmy do końca 1943 r.

Tragiczny początek walki, czyli jak naprawdę jest na wojnie

W noc sylwestrową, a było już po północy, tj. Nowy Rok 1944, zarządzono alarm nr 1, to znaczy zmiana miejsca postojów. Rozebraliśmy ziemiankę i z całym dywizjonem wyjechaliśmy na stację kolejową. Nie pamiętam jej nazwy. Wiał silny wiatr, sypało śniegiem tak, że trudno było spojrzeć. Załadowaliśmy działa i sprzęt, tj. samochody i amunicję na wagony odkryte, a żołnierze i oficerowie do wagonów towarowych. Przy każdym działem na platformach wagonów stali wartownicy. W wagonach były piętrowe prycze, a na środku żelazny piecyk, w którym stale palono. Drewno wzięliśmy z Sielc. Po kilku dniach dojechaliśmy do stacji Poczynek. Wyładowaliśmy wpierw działa, a później pozostały sprzęt. Ustalono, że dyżury przy działach będziemy pełnić plutonami. Zaczął pluton pierwszy, a nasz drugi rozlokowano w domu blisko stacji. Mieszkała tam ludność białoruska. Pierwszy raz od ponad roku położyłem się w domu. Spanie w domu na podłodze jest o wiele lepsze niż w ziemiance. Ledwo się rozlokowaliśmy, a już usłyszeliśmy dźwięk samolotów niemieckich (byliśmy blisko frontu). Alarm i szybko się ubierać. Nim zdążyliśmy dobiec do dział, kilka samolotów już rzucało bomby. Jeden z samochodów włączył światło, został trafiony w skrzynię, kierowca przeżył. Pierwszy pluton już strzelał. Samoloty szybko zawróciły. Jeden z żołnierzy schował się ze strachu pod platformę dział. Podczas strzelania wyrzucane z lufy łuski pocisków trafiały pod platformę i poraniły go lekko. Było dużo śmiechu i żartów, no bo poza trafieniem samochodu żadnych szkód nie odnieśliśmy. Była też nauczka na przyszłość: nie można chować się jednemu, gdy pozostali są narażeni na bombardowanie.

Nie spaliśmy już tej nocy. Zaczepiliśmy działa do samochodów i wyjechaliśmy do miejscowości Łaptiewo. Stacjonował tam sztab Pierwszej Armii Wojska Polskiego, a także inne jednostki. Była to duża wieś. Śniegu było około 1 metr grubości i tylko główne drogi odśnieżone. Od drogi do zaplanowanych stanowisk było chyba 500 m. Kopaliśmy tunele w śniegu, aby można było dopchać działa, bo dojazd samochodem był niemożliwy. Działa ciągnęliśmy i pchaliśmy ręcznie. Pracowali wszyscy, nie zważali na rangę. Nie było żartów, nalotu można było się spodziewać w każdej chwili. Na nasze szczęście nalotów nie było, śnieg spadł na niezamarzniętą ziemię. Wykopanie stanowiska było łatwiejsze. Od razu ustawiliśmy działa, przyniesiono amunicję i zaczęliśmy kopać i budować zie-

miankę. Było już dobrze rano, gdy skończyliśmy pracę. Kucharz miał w tym czasie gotowe śniadanie, ale spania już nie było. Następnej nocy spaliśmy spokojnie, tylko że każdy miał dwugodzinną wartę przy dziale. We wsi Łaptiewo była tylko jedna studnia, z której brali wodę mieszkańcy i wojsko. Była głęboka, na kołowrocie ucepione na łańcuchach były dwa wiadra i tak jak jedno było puste, szło w dół, to drugie pełne z wodą do góry. Wodę braliśmy tylko do kuchni. Na własne potrzeby, aby się umyć, albo coś wyprać, topiono śnieg w kociołkach stawianych na piecyku, który był w ziemiance. Palono drewnem, po które chodziliśmy do lasu świerkowego około 2 km. Surowe drewno ścinałiśmy i nieśliśmy na plecach, śnieg był zlodowaciały. Szło się po wierzchu. Na rozpalkę suszyliśmy przy piecyku, ale trzeba było uważać, aby się nie zapaliło. Uzupełnialiśmy czasem torfem, który składał w szopce nasz sąsiad – mieszkaniec Łaptiewa. On brał z jednej, a my z drugiej strony. Chodziłem też czasem po wodę do studni, a miałem jeszcze z cywila marynarkę i koszulę. Były dość dobre, nie dałem ich spalić w Diwowie. Po drodze wstąpiłem do domu, koło którego przechodziłem. Z zewnątrz wyglądał, że mieszkają tam trochę lepiej mający się ludzie. O zamożności nie było raczej mowy. Chciałem po prostu pohandlować, sprzedać marynarkę i koszulę. Gospodyni paliła w piecu chlebowym, tam też gotowała. Pokazałem jej towar, chciałem w zamian chleb. Zgodziliśmy się, że za marynarkę i koszulę da mi dwa chleby. Raptem z drugiego pokoju, jak się później dowiedziałem, wyszedł gen. Berling, który w tym domu miał kwaterę. Był tylko w koszuli, a na spodniach zauważyłem lampasy. Nie wiedziałem, że to generał. Zapytał mnie, jak długo jestem w wojsku, gdzie byłem w Związku Radzieckim. Powiedziałem, jak było, że od 19 listopada 1940 r. przyjechałem do Sielc z Buzuluku, a służę w Pierwszym Samodzielnym Dywizjonie Artylerii Przeciwlotniczej. Powiedział wtedy, że nie wyjechałem do Iranu, a ci, co wyjechali, będą walczyć od zachodu, a my od wschodu, tylko że my będziemy prędzej w Polsce, czekają tam na nas. Zaraz wyszedł do drugiego pokoju, jak gdyby nie słyszał poprzedniej rozmowy z gospodynią. Powiedziała, że to nasz generał. Słyszał chyba moją rozmowę z gospodynią. Wrócił i zaczął mówić, że mamy trudności z aprowizacją. Jesteśmy na cudzej łasce. Niemcy dużo zniszczyli, do tego ciężka zima, ale niedługo będziemy w kraju. Powiedziałem gospodyni, że po chleb wstąpię, jak będę szedł z wodą. Nie powróciłem jednak, nie byłem pewny, czy któryś z oficerów, którzy często tam bywali, nie zrobi raportu i zostaną ukarani. Po powrocie z wodą nikomu o tym nie mówiłem, dopiero po tygodniu opowiedziałem kolegom. Nie wszyscy byli pewni, że tak było. Nie miałem chęci ani potrzeby przekonywać ich. Na początku marca 1944 r. (dziwne, bo jeszcze była tam zima) zachorowałem na malarię. Powodem choroby był prawdopodobnie komar zimujący w torfie, który podkradaliśmy sąsiadowi na opał. Jest to ciężka, strasznie wynisz-

czająca choroba. Jeden dzień gorączka, na drugi zimnica trzęsie człowiekiem. Jedynym lekarstwem były tabletki żółtej chininy o gorzkim smaku. Leżałem na izbie chorych aż do ponownego alarmu i wyjazdu na południe w stronę Kijowa. I tak jak niedawno w noc sylwestrową rozebrano ziemianki, też nocą wszystko załadowano na samochody. Wyjechaliśmy do stacji kolejowej Poczynok. Na podstawione wagony załadowaliśmy działa i sprzęt. Działa mocowaliśmy grubymi gwoździami do podłóg wagonów, aby w razie potrzeby można było strzelać do samolotów. Zabezpieczyliśmy amunicję przy każdym dziale. Mieliśmy przy załadunku krótkie spotkanie z rosyjskim majorem (prawdopodobnie komendantem miasta). Przyszedł do nas i zażądał, abyśmy zostawili deski, które były z naszych rozebranych w Łaptiewie ziemianek. Twierdził, że to są ich deski. Innych desek poza tymi nie mieliśmy. Pojawił się szef 2. plutonu Władysław Balcer i powiedział, że deski są nasze jeszcze z Sielc, będą nam potrzebne i w Poczynku ich nie zostawimy. Major chwycił za kaburę i powiedział, że jak nie oddamy, budiet strielat. Szef rozpiął mundur i powiedział: „*Nie strzelałeś na froncie do wroga, strzelaj do sojuszników*”. Major się odwrócił i do końca załadunku widać go nie było. Okazało się później, że deski użyli ci z pierwszego plutonu, a major trafił na drugi. Ważne, że skończyło się bez zwady.

Pociąg nasz ze stacji Poczynok ruszył rano, często stawał na różnych małych i większych stacjach. Była ładna słoneczna pogoda. Zbliżały się święta wielkanocne, które wypadają 8 kwietnia. Jak tylko pociąg się zatrzymywał, wyskakiwaliśmy na stacji kupić jajek, aby zgodnie z tradycją, podzielić się z kolegami. Nie jedliśmy konserw mięsnych z myślą, aby więcej mieć święto obfite i uroczyste.

Zatrzymaliśmy się na stacji Darnica³. Nic nie zapowiadało, by noc z 7 na 8 kwietnia 1944 r. miała różnić się w jakiś sposób od innych nocy i by upamiętnić się miała jakimiś niezwykłymi wydarzeniami. Stacja kolejowa w Darnicy zatłoczona była wojskowymi pociągami, gdy w południe 7 kwietnia przybył transport pierwszej i trzeciej baterii oraz plutonu PMK (przeciwlotniczych karabinów maszynowych). I SDAPłot zatrzymał się na jednym z bocznych torów. Był piękny słoneczny dzień (pogoda była ładna od Poczynku do Darnicy), gdzieś leżały resztki brudnego śniegu. Powiadomiono, że wolno wysiadać z wagonów, że zostanie zmieniony parowóz, a w Darnicy dywizjon spożyje obiad. Była to bardzo pożądana przerwa w nużącej podróży, toteż żołnierze ochoczo wysypali się z wagonów. Na postoju zabrali się do mycia, podszywania kołnierzyków, czyszczenia butów i setki innych czynności żołnierskich. Oficer dyżurny z komendantem transportu wysiedli również i poszli dowiedzieć się, jak długo potrwa

³ Wieś w pobliżu Kijowa, obecnie dzielnica miasta

postój. Zawiadowca stacji poinformował ich, że wkrótce pociąg odjedzie na stację przeładunkową za Dnieprem, gdyż Darnica była często bombardowana przez lotnictwo nieprzyjacielskie. Zawiadowca był zdenerwowany, dwoił się i troił, aby jak najprędzej „odkorkować” stację i puścić transport w dalszą drogę. Nie było to jednak łatwe i mimo jego wysiłków postój się przedłużał. Po południu ogłoszono alarm przeciwlotniczy, który podziałał na żołnierzy niczym kubel zimnej wody. Nieprzyjaciel nie zapomniał o Darnicy i wysuwał swe rozpoznawcze macki. Nad stacją przeleciały dwa samoloty FW 187 na wysokości ok. 7000 m. Wykonały zakręt i odleciały na zachód, pozostawiając za sobą dwie białe smugi, które długo jeszcze były widoczne na niebie. Były to samoloty rozpoznawcze, których pojawienie się nie wróżyło nic dobrego. Artyleria przeciwlotnicza ognia do nich nie prowadziła, leciały poza jej zasięgiem. Wydano zarządzenie dotyczące wzmocnienia gotowości bojowej i wprowadzono nocny dyżur na sprzęcie w gotowości do otwarcia ognia w razie nalotu. Dyżur zaczął pełnić pierwszy działon, którego dowódcą był kapral Stanisław Dębniak – obecnie pułkownik dypl. w stanie spoczynku. Już od wieczora wszystkie działony znajdowały się na platformach wagonów przy armatach, które dokładnie przygotowały do działania. Przygotowano i załódkowano po dwie skrzynie amunicji, której starczało na prowadzenie ognia przez jedną minutę. Na samochodach załadowanych na platformach wagonów stały przeciwlotnicze karabiny maszynowe z dyżurnymi obsługami. Czekaliśmy na odjazd. Dawało się odczuć ogólne podniecenie potęgowane faktem zatrzymania transportu na stacji. Denerwowała się większość załogi, jakby przeczuwając, że tej nocy stanie się coś niedobrego. Jedyne Franciszek Górski - żołnierz, który brał udział w wojnie w Hiszpanii, pocieszał, mówiąc: „*Lawiony nie takie są straszne, w Hiszpanii tyle ich było, a ja żyję*”. Zdenerwowanie wzrosło, gdy dowiedzieliśmy się od obrony przeciwlotniczej stacji, że był to już drugi lot rozpoznawczy tego dnia. Świadczyło to, że Niemcy interesowali się węzłem kolejowym i że ewentualny nocny postój zakończyć się może bombardowaniem. Słońce chyliło się ku zachodowi, nadchodził zmrok, a polski transport, mimo dalszych interwencji u zawiadowcy stacji, nie ruszał z miejsca. Wobec ogromnego nagromadzenia innych pociągów wojskowych nic nie zwiastowało rychłego odjazdu. Kilka pociągów wprawdzie odjechało, ale na ich miejsce wtoczyły się inne od strony Kijowa. Był też z poborowymi do Wojska Polskiego, jadący do Sum. Możliwość nocnego nalotu w czasie postoju niepokoiła również dowódcę pierwszej baterii Kanonienkę. Jeszcze przed zapadnięciem ciemności odbył on odprawę z dowódcami i zastępcami dowódców plutonów. Ustalił zwiększenie gotowości bojowej. W razie alarmu dowódca pierwszego plutonu por. Rekuć obejmie dowództwo z tyłu transportu. Nakazał współdziałanie ze stałą obroną stacji – radzieckimi pułkami przeciwlotniczymi, stojącymi w obronie mostów

na Dnieprze i stacji. Opodal na wzgórzu obok naszego transportu, przy torach kolejowych stała małowadliwa bateria przeciwlotnicza, obsługiwana przez dziewczęta – żołnierzy armii radzieckiej. Nic nie wskazywało na to, że wszystkie te przygotowania, najzupełniej uzasadnione, będą rzeczywiście potrzebne. Żołnierze starali się zachowywać beztrząsco. Pomiędzy długimi ciemnymi sznurami pociągów rozlegały się wielojęzyczne piosenki: ukraińskie, rosyjskie, gruzińskie, kazachskie. Polacy też nie pozostali bezczynni. Ogniomistrz Kruszyna na harmonii wygrywał melodie krakowiaków, polek. Żołnierze śpiewali piosenki znane jeszcze z Polski. Wieczór był ciepły, wiosenny, pogoda idealna, do późnych godzin dochodziły odgłosy śpiewów, tańców i wesołej zabawy. A jednak mimo pozorów nastrój ten był męczący, mącony wzrastającym niepokojem u bardziej doświadczonych i rozważniejszych żołnierzy. Dyżurne obsługi dział i WKM były na swych stanowiskach, inni żołnierze szykowali się do snu. Po godzinie 10 wieczorem było już spokojnie, cichły ostatnie odgłosy. Stojąc przy działach, zaczęto wspominać swych najbliższych, gawędzić o wszystkim. Starano się naprawić zepsutą baterię. Na zakończenie zeszliśmy na temat jedzenia, wszyscy byli głodni (młode organizmy, normy jedzeniowe głodowe). Wymieniano najrozmaitsze potrawy, a ktoś głośno zaczął myśleć: *„Jak przyjadę do domu na urlop, zapukam do drzwi, Mania otworzy i krzyknie: Janek! Rzuci się do mnie witać. A ja powiem: Mania jeść! Dopiero później serdecznie się przywitam”*.

Przed północą zauważyliśmy ogień artylerii przeciwlotniczej w kierunku Fastowa oraz usłyszeliśmy głuche wybuchy bomb. Kilka bliższych ogni gdzieś za Kijowem świadczyło, że lotnictwo nieprzyjaciela było czynne. O 12 w nocy oficer dyżurny zarządził zmianę dyżurnych działonów. Zostawiliśmy przy działach wartownika i poszliśmy spać. Do spania nie rozbieraliśmy się, zdjęliśmy tylko buty. W wagonie było ciepło i przytulnie. W piecyku stale podtrzymywano ogień. Zmęczenie, przeżycia z całego dnia zrobiły swoje, usnąłem. Cisza i spokój wiosennej nocy. I nagle z kierunku Kijowa pojawiły się błyski, ogień artylerii przeciwlotniczej. Błyski przybliżały się i rozświetlały ciemność nocy. Jeszcze chwila i pojawiły się nad Kijowem, a parę sekund szum motorów samolotowych mieliśmy w Darnicy nad nami. Zawyły przeraźliwie syreny parowozów, ponuro zadźwięczały gongi. Głośny krzyk: *„Alarm! Pierwsza bateria do dział!”*. Zakotłowało się przy drzwiach wagonu. Żołnierze zrywali się z posłań, ubierali się w niesamowitym tempie, wyskakowali z wagonów. Jedni biegli wzdłuż transportu, inni w ukryciu przygodnych schronów i okopów, jeszcze inni do dział i karabinów maszynowych. Słowo alarm jak magnes postawiło na nogi. Szybko wciągnąłem buty, aby dobiec jak najprędzej do dział. Biegłem co sił na koniec transportu, gdzie na platformie stała nasza zenitówka. Trwało to sekundy. Wszyscy stanęli na platformie, szybko zdjęto pokrowiec i bez komendy każdy stanął na swoim miejscu do obsługi

własnego numeru. Byłem numerem trzecim, nastawiłem szybkość i odległość do celu, to znaczy do samolotów. W nocnym strzelaniu w normalnych warunkach, kiedy bateria jest okopana na stanowisku, ustawiłem szybkość 2000 i odległość 1600 (tak się ustawiało w strzelaniu nocnym, kiedy cel nie jest widoczny). Nad stacją rozległy się charakterystyczne odgłosy silników. Obładowane bombami samoloty nadciągały nad cel. Najgorsze są te pierwsze chwile przed akcją, gdy człowiek wyrwany ze snu, staje oko w oko ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, gdy musi opanować w sobie zwierzęce pragnienie ucieczki. Nad Darnicą zaczęły krążyć samoloty wyrzucające „żyrandole”. Na ciemnym niebie błyszczały różnorodne choinki oświetlających bomb, opadających na spadochronach. Z dołu od strony Kijowa widać było ostre świetliki pocisków przeciwlotniczych, strzelały 37 mm działa a także bateria 85, których salwy rozchodziły się echem wśród kwietniowej nocy. Rozdzierały ciemności silne, kilkumetrowej długości promienie reflektorów przeciwlotniczych. Od czasu do czasu w ich świetle pobłyskiwały stalowe cielska junkersów wykonujących ewolucje, bojąc się „ukłuć” reflektorów. Dowódca baterii por. Kanonienko dowodził działami z tyłu transportu, gdzie stał mój działon czwarty. Rozległy się twarde spokojne słowa komendy, tak spokojne i pewne, iż żaden z żołnierzy nie zawahał się na sekundę, odleciał strach. „*Ognia, ognia chłopcy!*”. Ciężki to był nalot, skoncentrowany i skuteczny, ale napotkał też opór. Od zawieszonych rakiet widać było nawet igłę, oślepił blask. Pierwsza komenda: „*Do rakiet ognia!*”. Pierwsze wystrzały, celownice korygują je, nanoszą poprawki. Pociski zenitówek trafiają cel, rakiety lecą w dół i gasną. Na ich miejsce pojawiają się nowe i coraz gęściej. Brakuje amunicji, pada rozkaz dowódcy baterii (który jest przy mnie), że trzeci i czwarty numer ma dostarczyć amunicję z wagonu, który jest w środku transportu. Z miejsca skaczemy z wagonu, byłem nr. 3 i szybko lecimy do wagonu z amunicją. Dołączają do nas szef plutonu Balcer, cały zwiad, łączność, obsługa dział trzeciej baterii 85. i wszyscy, co nie są potrzebni przy ostrzeleniu. W artylerii przeciwlotniczej tylko raz dostaje się komendę: *Ognia!* Później każdy działon prowadzi ogień samodzielnie. Zdążyłem obrócić 2 razy, przyniosłem 2 skrzynki amunicji po 30 sztuk, przynosili też inni. Gdy przyniosłem drugą skrzynkę, zaczęły padać bomby. Podąłem skrzynkę, skończyłem za wagon, aby pomóc w ładowaniu pocisków do łódek, za mną cały sznur kolegów podawał. Polecały bomby na nasz pociąg, padały dookoła. Jedna trafiła wagon z amunicją, zaczęły rwać się pociski, nie było dostępu, wagon palił się. Na platformę z działem nr 3 pada bomba, wybucha. Działo milknie, zostało zmiecione z platformy z całą obsługą, która ginie na miejscu. Zginął porucznik Kanonienko, stojący obok platformy. Ciężko ranny został porucznik Rekuć (stracił wzrok). Byłem wtenczas na ostatniej platformie obok działła trzeciego. Podmuchał zrzucił mnie z wagonu. Byłem kontuzjowany, ale cały. Nie czułem

bólu, nic nie słyszałem, na głowie nie miałem czapki. Bomby padały dookoła jedna za drugą. Leżałem obok wagonu, nie mogłem podnieść głowy. Zobaczyłem, że nie ma już trzeciego działu. Z naszego czwartego wszyscy już byli ranni. Z drugiego i trzeciego działu został żywy tylko Józef Tumasz. Niósł w tym czasie amunicję. Działu uszkodzone, obsługa ranna. Pomoc była niemożliwa, dokoła rwały się bomby.

Pociąg nasz stał z boku blisko stacji. Odczołgałem się za budynek, tam też padały bomby. Blisko był las. Zbudowano tam schrony z grubych kłoców drewna, ułożonych w poprzek w kilka rzędów. Chciałem wejść, jednak było tam już dużo ludności cywilnej. Nagle straszny gwizd lecącej prosto z góry bomby. Zdawało się, że spadnie na mnie. Odskokczyłem w bok, położyłem się na ziemi. Upadła blisko, poczułem silny podmuch. Ukryć się nie było gdzie. Wstałem, podbiegłem kawalek i wpadłem wprost na radzieckiego oficera, który stał u wejścia do ziemianki. Chwycił mnie za ramię i wciągnął do środka. Powiedział: „*Nużno pierieżddat bombardirowku, nie wychadi iz ziemplanki!*”. Było to niedaleko stacji, ci z ziemianki, jeszcze w dzień widzieli, że stoi tam pociąg artylerią przeciwlotniczą. Słyszeli też, jak strzelaliśmy do samolotów. Pozostałem z nimi, dokąd nie przestały padać bomby. Oficer w drzwiach nie pozwalał nikomu wyjść. Co chwila rwały się pociski w płonących wagonach. Trudno opisać to, co zobaczyłem, gdy wróciłem do swego transportu. Jeden tylko schron ocalał. W pozostałe trafiły bomby o dużej sile wybuchu. Stały porozdzierane, niektóre na sztorc. Ze środka słychać było przerażające krzyki zamkniętych. Dookoła wybuchały jeszcze bomby. Aby ratować ludzi, trzeba było najpierw wyciągnąć poszarpane bale drewna.

Tylko dzięki Opatrzności nie wszedłem do tego schronu, lecz odskokczyłem dalej, gdy oddalałem się od pociągu podczas bombardowania. Doktor Kasztelański i sanitariusze udzielali już pomocy rannym. Z Kijowa przyjechały samochody sanitarne. Zostali zabici, których należało pochować. Palily się wagony, rwały pociski, gasić pożarów nie było czym. Setki wagonów rozbitych, wyrzuconych z torów. Dużo ciał było zwęglonych, trudnych do zidentyfikowania. Szczątki szefa plutonu poznałem po granatowych spodniach. Leżał obok wagonu, a dokoła rozrzucone pociski, które niósł, kiedy spadła na trzeci działu bomba.

Po drugiej stronie leżał porucznik Kanonienko. W moim czwartym działu wszyscy byli ranni, w trzecim też. Z drugiego działu żywy pozostał Michał Tumasz, pozostali z dowódcą zginęli. Józek Kalinka, ten, co ze mną trafił do I PDAPLotu z pierwszego działu, został ciężko ranny w brzuch, zmarł zanim udzielono mu pomocy. Był najmłodszy, wszyscy bardzo go lubili, zawsze uśmiechnięty, nigdy nie narzekał. Teraz mówił, że jest mu zimno. Przyszedł do wojska z Syberii, dokąd był wywieziony 1940 r. wraz z rodziną. Chciał żyć, nie-

stety, odłamek bomby uśmiercił go. Porucznik Feliks Rekuć – Polak urodzony w Moskwie chciał też zobaczyć Polskę. Byli też żołnierze z różnych stron Rosji, których rodziców wywieziono z Polski jeszcze za caratu. Wychowani zostali w duchu polskości, mówili po polsku. Chcieli dojść do kraju, niestety, tu zostali. Zginęli też młodzi chłopcy, których w 1940 r. wcielono do Armii Czerwonej, a później powołano do Wojska Polskiego. Na pagórku niedaleko stacji został głęboki lej po bombie. Tam zrównaliśmy trochę ziemię i pochowaliśmy kolegów. Grób zaścieliliśmy płaszczami żołnierskimi. Nikomu nie zrobiono trumny. Zabitych do grobu noszono na płaszczach, pałatkach, składano i przykryto też płaszczami. Na mogile ustawiliśmy krzyż brzozy. Odmówiliśmy pacierze. Wystrzelono trzy salwy karabinów. Takie było pożegnanie kolegów bliskich jak rodzina, bo nic tak nie łączy ludzi, jak ciężko przeżyte dni i noce w biedzie, cierpieniu, dokąd człowiek nie przestał być jeszcze człowiekiem. Widziałem w życiu też takich, którym pozostał tylko instynkt samozachowawczy, zwierzęcy, aby tylko żyć nawet za cenę innych, zdawało się bliskich sobie osób. Darnica był to, jak nazywają, chrzest bojowy, który przeszedł nasz PSDAPłot. Powracam często myślą do tego tragicznego dnia 8 kwietnia 1944 r. Ścisła coś za gardło, trudno o tym mówić. Szukam odpowiedzi, czy możliwe było zapobiec tak dużym stratom. Czemu nie zastanowiono się w porę, nie przeciwdziałano i nie przewidziano skutków? Czemu nie zadbano bezpieczeństwo żołnierzy i sprzętu? O ile zaczęto strzelać, należało przede wszystkim bronić swego transportu, strzelać w kierunku, jak stał nasz pociąg. Nikt z nas nie spodziewał się nalotu, nie wyłączając dowództwa. Dzień wcześniej wszyscy myśleli o zbliżających się świętach Wielkanocy. Nikt nie spodziewał się, że nocą 8 kwietnia trzeba będzie walczyć, a wielu z nas ich nie doczeka.

W południe, gdy pojawiły się samoloty zwiadowcze wroga, dowództwo i żołnierze ludzili się nadzieją, że jeszcze 7 kwietnia nasz pociąg pojedzie do Kijowa. Szef sztabu kapitan Witkowski wyjechał do Kijowa, zamierzając nakłonić władze kolejowe, aby szybciej przepuściły nasz pociąg. Nie doszło do tego ani w dzień, ani do północy. Jako przeciwlotnicy w czasie nalotu nie mogliśmy stać bezczynnie. Nie honor, gdy z góry lecą bomby, przyglądać się temu z ukrycia. Nie było i tak miejsca na ukrycie. Wszystkie transporty radzieckie, a było ich około 20, też stały na całej stacji. Popelniono jednak błąd, strzelając na początku tylko do rakiet. Gdy zaczęliśmy strzelać, lotnicy od razu nas odkryli, a każdy chce się pozbyć w pierw wroga, który jest niebezpieczny dla niego. Tym niebezpieczeństwem był nasz dywizjon, bo jednostka radziecka złożona z młodych dziewcząt, przy pierwszych bombach zaprzestała obrony, no bo i niewiele mogła obronić, mając działka małego kalibru, więc największe bombardowanie ściągnęliśmy na siebie. Stało się tak, jak się stało i po tym, jak pochowaliśmy

swych kolegów, przyjechał dźwig z Kijowa i przestawił ocalałe wagony i sprzęt na naprawiony obok tor. Z baterii wzięliśmy dwa działa (dwa były zniszczone), doczepiono parowóz i wyjechaliśmy do Kijowa, gdzie wyładowaliśmy swój sprzęt wojskowy. Dalej samochodami wyjechaliśmy do miejscowości Trojanów. Tam też wykopaliśmy stanowiska dla dział. Jeszcze tego samego dnia zbudowaliśmy ziemianki. Dołączono do nas jeszcze jedno działo z drugiej baterii, mieliśmy teraz w baterii 3 działa.

Taki był początek mojej walki. Doszedłem aż do Oranienburga, 8 maja w Biesenthalu ogłoszono koniec wojny, o dalszej drodze napiszę później. Różne były chwile, ale tak tragicznych jak pierwsza walka nie przeżywaliśmy.

Wartę pełnili żołnierze z 2. baterii, którzy nie byli w Darnicy, bo wyjechali wcześniej z Chopniowa ze sztabem I Korpusu. Żaden z nas nie miał całkowitego umundurowania. Wyskakiwaliśmy z wagonu, zostawiając płaszcze, ubrania i inne osobiste rzeczy. Wagon spalił się, nie zostało nic. Wyglądaliśmy jak partyzanci. Na drugi dzień przyjechał do nas na baterię generał Berling. Było to wczesnym rankiem, nie mogłem spać, wyszedłem z ziemianki. Zobaczyłem, że jechał na koniu, a za nim w asyście jakiś pułkownik. Na warcie stał kapral Michał Karpowicz z 2. baterii. Z daleka nie było widać, kto jedzie. Z ciekawości podszedłem bliżej do wartownika. Gdy jeźdźcy byli już blisko, poznałem generała. Pamiętałem go jeszcze Łaptiewa, gdy chciałem pohandlować marynarką, w czym mi niechętny przeszkodził, no bo nie miałem ochoty wrócić do gospodyni jeszcze raz. Ranek był chłodny, Karpowicz trzymał automat na ramieniu, a ręce miał w kieszeniach. Gdy generał zrównał się z Karpowiczem i skręcił konia na stanowisko baterii, ten krzyknął, jakby się przestraszył (myślał pewnie, że pojedzie dalej tą pełną drogą): „*Stój, gdzie jedziesz?!*”. Generał zaśmiał się głośno i powiedział: „*Do was, obywatelu kapralu!*”. Wjechał konno na baterię, gdzie wszyscy prawie jeszcze spali. Ja też szybko wszedłem do ziemianki i zbudziłem kolegów. Powiedziałem, że na baterii jest generał Berling. Spał z nami dowódca 2. plutonu porucznik Kaliniewicz, zerwał się i wyszedł przed ziemiankę, a gdy zobaczył generała, nie wiedział, jak się zachować. Ubrany był tylko w ruską wojskową rubaszkę (koszulę ze stójką). Krzyknął: „*Alarm!*”. Nie bardzo mu to wyszło. Berling powiedział: „*Nie trzeba, nie róbcie alarmu*”. Jednak cała bateria się obudziła, wszyscy wyszli z ziemianek, widok tego wojska był żalospny. Jedni w kufajkach, inni w letnich mundurach, bo tylko takie mieliśmy, brakowało nawet czapek. Każdy miał na sobie tylko to, w czym wyskoczył z wagonu podczas alarmu. Pierwszy zaczął mówić generał Berling. Wiedział już o nocy 8 kwietnia, że nasz dywizjon, stojąc na stacji Darnica, bronił jej podczas nalotu. Powiedział, że wojska radzieckie, które wtedy były razem z nami na stacji, podziwiają odwagę Polaków, ich determinację, z jaką walczyli. W Darnicy zgi-

nał dowódca baterii Kononienko. General rozkazał przyjąć dowództwo zastępcy podporucznikowi Tatarskiemu, który nim został do końca wojny, awansował na kapitana. Rozkazał również, by wysłano szefa po umundurowanie. Na drugi dzień mieliśmy już mundury i wkrótce wyjechaliśmy do Kiwerc na Wołyniu, gdzie pierwszy raz po dwóch latach poszliśmy do prawdziwej łaźni i porządnie umyliśmy się. W Kiwercach otrzymaliśmy nowe uzbrojenie, a także dopełnienie stanu osobowego. Byli to Wołyniacy z okolic Łucka. Niektórzy z nich służyli w artylerii przeciwlotniczej przed wojną. Od nich przyswoiliśmy części uzbrojenia nazywane po polsku. Upřednio nasi instruktorzy nazywali je po rosyjsku. Zajęliśmy stanowiska blisko torów kolejowych, gdzie wyladowywały się jednostki polskie ze Smoleńszczyzny i z Sum. Pierwszej nocy nie spaliśmy wcale. Prawie bez przerwy leciały nad nami samoloty na wschód. Strzelaliśmy ogniem zaporowym. Następne noce były podobne, a w dzień trudno było zasnąć. Staliśmy tam tydzień, stamtąd wyjechaliśmy do miejscowości Chopniów, gdzie stacjonował sztab I Armii WP.

Odwiedziła nas Czołówka Filmowa. Mieli robić zdjęcia do filmu dokumentalnego. Kompletna obsługa pozostała w pierwszym działaniu, a że byłem w tym działaniu jako numer trzeci, ustąpiłem Piotrowi Makuchowskiemu, którego dobrze znasz, ponieważ w Darnicy obsługiwał ten nr 3. Ja w Darnicy obsługiwałem też nr 3, lecz w czwartym działaniu, którego obsługa cała była ranna i w tym czasie leżała jeszcze w szpitalu. Nie wszyscy do nas wrócili. Czołówka zaczęła robić zdjęcia i nagrywać do filmu. Chcieli nagrać strzelanie z dział do samolotów. Padła komenda: „*Do samolotu nad 6!*” (tj. punkt orientacyjny, wszystkich było 12) Podano szybkość i odległość, gdy wszystkie numery podały: „*Gotów!*” – a jest to zawsze prawie jednocześnie, padło słowo: „*Ognia!*”. Operator filmowy w tym czasie przesunął się blisko lufy dział, nastąpiły wystrzały. Operatora ogłuszyło, zdjęcia i nagrania nie wyszły, a szkoda. Nie chciano powtarzać jeszcze raz.

Przekraczamy Bug

Odwiedził nas też teatr wojskowy. Latem zostawiliśmy chłopaków i ruszyliśmy na zachód, mijaliśmy miasta: Równe, Dubno, Łuck i inne. Bug przejeżdżaliśmy po moście pontonowym. Bateria zjechała z drogi, jej dowódca podał komendę: „*Obsługa do dział!*”. Gdy już była gotowa, padła komenda: „*Kierunek celu wschód, kąt podniesienia 45 stopni, bateria trzy serie pojedynczymi: ognia!*”. Bateria oddała trzy strzały tak jak w piosence: „*Salut daj na wschód, na zachód marsz!*”.

Ruszyliśmy w stronę Chełma, staliśmy na odkrytych działach, każdy na swoim miejscu. Po drodze całe łany niedojrzałych zbóż skoszone, celowo znisz-

czone przez okupanta. Byliśmy w Chełmie. Na ulicy pełno ludzi, zewsząd okrzyki: „*Niech żyje Wojsko Polskie. Niech żyje Polska!*”. Rzucano kwiaty, papierosy, słodycze. Tutaj poczuliśmy się naprawdę jak u siebie w domu. Za miastem zajęliśmy stanowiska. Pojawił się samolot zwiadowczy, dobrze znany z Darnicy. Leciał nisko. Szybko do dział i komenda: „*Ognia!*”. Nie zdążono nawet podać danych, zresztą nikt na to nie czekał. Taka okazja, aby samolot mieć blisko i nisko, zdarza się rzadko. Wszystkie działa na raz dały ognia. Samolot znalazł się w ich ogniu, poleciał w dół i zniknął., Obiekty tego typu prawie nigdy nie latają niżej niż 4 tysiące metrów, nie sięgają ich zenitki 37 mm. Tym razem zlekceważył zasadę, widać był pewien, że nie ma w pobliżu artylerii przeciwlotniczej. Stanęliśmy obok wsi, stanowiska trzeba było kopać na polu. Przyszli chłopci z kosami i tam, gdzie było tylko konieczne, wykosili zboże jeszcze zielone. Pomagaliśmy im je zebrać. Nadawało się do karmienia inwentarza. Zamiast ziemianek postawiliśmy namioty. Nie zagrzailiśmy tu miejsca, na drugi dzień ruszyliśmy w kierunku Lublina.

W Lublinie, tak samo jak w Chełmie, staliśmy przy działach. Było upalnie, pełno ludzi na ulicy, na balkonach, w oknach. Zorganizowano defiladę. Szły wszystkie rodzaje broni: artyleria, broń pancerna, piechota różnego rodzaju, fizylierzy, kobiety fizylierki jeszcze z Sielec. Owacje jeszcze większe i głośniejsze niż w Chełmie. Jechaliśmy bardzo wolno. Podawano żołnierzom kwiaty i inne rzeczy, każdy coś otrzymał, ja dostałem czekoladę i papierosy. Po defiladzie pojechaliśmy do Milejowa. Byliśmy tam pierwsi jako jednostka polska. Stanęliśmy na rynku, od razu ustawiając działa gotowe do strzelania. Władze już były tam uformowane. Rozmawiali z dowództwem, a także z żołnierzami. Wszyscy byli ciekawi, kim jesteśmy. Rozmowy były naprawdę serdeczne, cieszyli się jedni drugimi.

Na baterii w środku był porucznik Kaliniewicz, urodzony w Mińsku, słabo mówił po polsku, unikał rozmowy. Chociaż też był Polakiem, nie mógł języka polskiego używać w ZSRR. Nagle na małej wysokości pojawiły się trzy samoloty. Z sylwetek były całkiem podobne do niemieckich samolotów bombardujących typu junkers. Obsługa była koło dział. Kaliniewicz, no i prawie wszyscy byli pewni, że to junkersy. Komenda: „*Do samolotów ognia!*”. Samoloty były już nad nami, a gdy nas minęły, dostały po ogonach. Natychmiast poleciały zielone rakiety z samolotu, co świadczyło, że to są nasi. Każdego dnia były podawane kolory rakiet jako znak, że do tego samolotu nie należy strzelać. Lotnicy chyba wcześniej zauważyli, że nasze zenitki szykują się do strzelania i szybko wystrzelili rakiety. Były to amerykańskie bostony, nie znaleźliśmy ich sylwetek, dopiero później nam je pokazano. Brały one udział w walce po naszej stronie.

Z Milejowic ruszyliśmy w stronę Puław, a stamtąd do Bałtowa. Zakotwiczył się tam sztab I Armii. Wieś położona blisko Wisły, a za Wisłą byli Niemcy. Na polu stały kopki żółtego żyta, między nimi wyznaczono stanowiska.

Gdy zaczęliśmy okopywać działa, przyszedł gospodarz z pretensją, że nakopie-
my mu dołów na polu, zostawimy i sami odjedziemy, a on będzie musiał te
doły sam zasypywać. Nie było czasu na dyskusję, widać było Wisłę, a za nią
byli Niemcy. Spodziewaliśmy się najgorszego, przed nami nie było żadnej li-
nii obronnej. Chcieliśmy (to było pragnienie żołnierza, który widzi z naprze-
ciwka nieprzyjaciela) jak najszybciej wejść do okopu, który najpierw należało
wykopać samemu i dobrze zamaskować. Gdy gospodarz nie chciał usunąć się
z pola i przeszkadzał, Staszek Sobieski z naszego działonu wyjął wycior z karabinu
i dwa razy pociągnął gospodarza po spodniach. Ten szybko uciekł i nawet się
nie oglądął. Mieliśmy rozkaz zamaskować stanowiska, a strzelać tylko w razie
nalotu albo napadu z za Wisły. Okopaliśmy, zamaskowaliśmy działa, stawialiśmy
namioty z pałatek. Raptem ukazały się meserszmity (samoloty myśliwskie) i nie-
daleko naszych stanowisk zaczęły ostrzeliwać drogę, po której jechały samocho-
dy, przechodziło wojsko. Pomimo zakazu strzelania nawet dowódca nie wytrzymał
nerwowo, samoloty (leciały nisko i niedaleko nas ok. 2 km) były w zasięgu
naszych dział. Podano komendę: „*Do samolotów nieprzerwanym, ogień!*”. Ogień
był celny, strzelała cała bateria. Jeden z nich poszedł w dół.

Nie zagraliśmy w Milejowie miejsca. Zaraz był alarm w sztabie i u nas.
Przejechaliśmy na inne stanowisko do Żabińca, gdzie stanął sztab I Armii. Do
Wisły mieliśmy około 4 kilometrów. Był już tam po drugiej stronie Wisły zdo-
bity przyczółek, a na Wiśle zbudowano most pontonowy, przez który bez prze-
rwy przepływały się jednostki różnych rodzajów broni. Działa zamaskowaliśmy
snopkami żyta, które w kopcach stało obok na polu. Kazano wykopać schro-
ny obok stanowiska, tj. takie rowy w kształcie litery L z wejściami obok działa.
W pierwszych dniach niektórzy spali w tym schronie, kładąc na spód snopki żyta.
Po tym, jak widziałem zawalone schrony po bombach w Darnicy, wołałem spać
w namiocie. Co dzień przed zachodem słońca nadlatywały całe eskadry samoło-
tów bombowych z zachodu. Niekiedy w eskadrze było 30 sztuk i więcej. Mijały
Wisłę, zawracały nad Żabińcem (nad nami) i leciały nad przeprawę, zrzucając
bomby. Zawracały kilkakrotnie, potem leciały następne eskadry i tak aż do rana.
Pierwszej nocy, pomimo przemęczenia, nie spaliśmy, siedzieliśmy przy działach.
W dzień też spania nie było, bo cały czas nękały nas naloty. Po kilku dniach
uznaliśmy (dowództwo też) za bezcelowe siedzenie całą noc przy działach, bo
strzelać nam było wolno tylko podczas bombardowania wsi, gdzie stał sztab.
Niemcy tego miejsca nie ostrzeliwali. Spaliśmy jednak w ubraniach, zdejmując
tylko buty. Spodziewaliśmy się nalotu na wieś, gdzie stał sztab I Armii no i na
nas. Wieś była blisko. Bez odpoczynku, chociaż krótkiego, człowiek dłuższy czas
nie wytrzyma kondycyjnie. Wysiądą mu nerwy. Przeprawa była blisko, bombar-
dowano ją dzień i w nocy. Nocą rakiety oświetlające wisiały na spadochronach.

Widać było od nas pikujące samoloty i lecące bomby. Kiedy stało się na warcie i wychodziło się z leja w czasie, jak wybuchały bomby, to od poddmuchu płaszcz zarzucało na głowę, a pałatka w namiocie łopotąła. Mimo podmuchów bomb, gdy położyłem się w namiocie, zaraz zasypiałem. Jedno tylko słowo: ALARM zakodowane głęboko w mózgu, podrywało na nogi. Z tego wniosek, że o ile uświadomi się sobie, że nic w tym nie można zmienić, musi tak być, jak jest, musi się z tym godzić i z tym żyć, to człowiek, który chce żyć, wytrzyma dużo. Dyscyplina na baterii była surowa. Z uwagi na nasze położenie blisko sztabu, nikomu nie wolno było oddalić się z baterii.

Jak już wspomniałem, dowódcą naszego plutonu był porucznik Kaliniewicz rodem z Mińska. Słabo mówił po polsku, a do tego gorzej jeszcze akcentował. Jakoś zdobyłem jego zaufanie i zawsze wołał mnie na przechadzkę. Odchodziliśmy niedaleko od baterii, aby w razie alarmu zdążyć na stanowisko. Siadaliśmy na miedzy i on mówił po polsku, a gdy wymówione słowo źle akcentował, poprawiałem go i starał się powiedzieć z polskim akcentem. Nie byłem pedagogiem, robiłem to tak, jak rozumiałem. Lubilem te spacerki, było bardzo miło, choć na chwilę oderwać się od rzeczywistości i obserwować z bliska przyrodę. Na polu w lecie jest bardzo przyjemnie, tym bardziej że żyło się na wsi, skąd na siłę wyrwano, przeniesiono w inny świat, którego nie lubilem. Znałem cały życiorys Kaliniewicza, lubił opowiadać, a ja wołałem słuchać, bardzo rzadko zwierzałem się i tak już pozostało.

Ktoś chyba z zazdrości doniósł dowódcy baterii – Tatarskiemu, że oddalamy się na pogawędkę. Gdy zauważył, że nie ma Kaliniewicza, pytał Makuchowskiego, który był dowódcą działonu, czy jest Hajduk, a ten stale po koleżeńsku odpowiadał, że jest obok. Byliśmy zawsze blisko, a że Tatarski miał donośny głos, słyszeliśmy pytanie i wracaliśmy. Widać, że nie chcieli zadzierać jeden z drugim. Obydwaj mieli stopień porucznika, tylko że Kaliniewicz ze szkoły, a Tatarski z awansu. Kaliniewicz przyszedł do wojska w stopniu plutonowego. Wkrótce powołano go do nowo tworzącego się pułku artylerii przeciwlotniczej. Proponował, abym siedział z nim, co było możliwe. Bardzo go polubiłem, żał jednak było rozstawać się z kolegami, tyle się z nimi przeżyło w dobrym i złym. Nic tak nie łączy ludzi jak przeżyta razem tragedia, dole i niedole.

Najważniejsze jest zwyciężyć i wyjść z tego cało

Pewnego dnia za Wisłą, niedaleko przeprawy, usłyszeliśmy potężne wybuchy i zobaczyliśmy błyski. Wybuchów o takiej sile nigdy nie było. Nikt nie wiedział, co to jest. Na drugi dzień mieliśmy gościa, wprost przez pola przyszedł do nas generał

Berling, Sztab stał niedaleko, szedł z nim też pułkownik. Mieliśmy wtedy zajęcia i prowadzący nie zdążył postawić nas na baczność. Generał powiedział: „*Siadajcie chłopcy!*”. Nikt nie usiadł. Zapytał, jak się czujemy, czy nie przeszkadzają nam przeloty niemieckich samolotów. „*Zdążyliśmy się już przyzwyczaić*” – odpowiadaliśmy chórem. „*Nie rozbieramy się w nocy, jesteśmy zawsze w pogotowiu. Gdybyśmy byli bliżej przeprawy, pomogliśmyby przeciwlotnikom, którzy przeprawy bronią*”. Generał powiedział, że wie o naszej gotowości do walki. Jest całkiem pewny, dowiedliśmy tego w Darnicy. Dużo nas tam zginęło, a teraz mamy inne zadanie, przyjdzie czas i trafi się okazja do walki, ale najważniejsze jest zwyciężyć i wyjść z tego cało. Będziemy mieli dużo pracy w odbudowie zniszczonego wojną kraju.

Niedaleko naszego działonu często lądował samolot „kukuruźnik”. Teraz z takiego „kukuruźnika” wysiadł dowódca frontu, marszałek Rokossowski. Pomógł lotnikowi zapchnąć maszynę pod gruszę rosnącą na polu, a sam szedł do sztabu I AWP bez obstawy. Pilot został przy samolocie. Kilku z nas z ciekawości podeszło do niego. Chcieliśmy wiedzieć, kto lata z dowódcą I Frontu Białoruskiego (szliśmy razem z tym frontem). Wyglądał na zacofanego chłopca ze wsi. Był mocno zbudowany, mówił tylko o swojej maszynie. Twierdził, że może na niej nawet w sadzie pod drzewami latać, żeby tylko nie były karłowate.

W Żabińcu zastało nas powstanie warszawskie. Przychodzili kilkakrotnie do sztabu łącznicy zza Wisły. Przyszedł też do nas gen. Berling. Mówił o ciężkiej sytuacji powstańców, że dowództwo I Armii zrobi wszystko, aby im pomóc. Wiedzieliśmy, że nasi żołnierze ochotniczo poszli pomagać za Wisłę, na co wyraził zgodę gen. Berling. Za kilka dni dowiedzieliśmy się, że Berling został odwołany z frontu, a jego miejsce zajął generał Popławski (to nie było jego prawdziwe nazwisko, był Rosjaninem). Generał Berling wyjechał do Moskwy jako attaché wojskowy. Zaskoczyło to nas, lecz nikt nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego tak się stało. Wiedzieli jednak wszyscy, że powodem odwołania go jako dowódcy I Armii WP było wyrażenie zgody na udział żołnierzy w powstaniu warszawskim.

Z Żabińca wyjechaliśmy do Pilawy, później do Krzywdy, Garwolina, a wreszcie do Miłosnej. Stanęliśmy na górze, skąd była dobra widoczność. Z dwóch stron stały domy, a z boku stacja kolejowa.

Z przeciwnej strony na podwórzu gospodarstwa ustawiono naszą kuchnię polową. Gospodarz był w AK i stale musiał się meldować w NKWD. Nie wiem, jakie były losy tego porządnego chłopca, gdyż 17 stycznia ruszyliśmy z frontem. Zima 1944/45 była mroźna i ciężka. Spadło dużo śniegu, nękały nas częste zamiecie. Gdy nas zawiąło, braliśmy łopaty, odrzucaliśmy śnieg, pełniąc przy tym wartę. Dostęp do działła musiał być w każdej chwili. Nikt o tym nie przypominał, nie poganiał do pracy. Każdy zdawał wartę koledze w największym porządku, wokół działła musiało być czysto.

Wyżywienie nie było najlepsze. Ziemniaki na zaopatrzenie zimowe, źle zakopcowane, zamarzyły na kość. Po zamoczeniu w ciepłej wodzie skórka scho-
dziła pod palcami. Ugotowane smakowały jak guma, nie sposób jeść ani prze-
łknąć. Dodawano do nich konserwę świńską - tuszonkę, której czuć było zapach,
bo ulatniała się chyba przed wrzuceniem do kotła. Zwróciliśmy się do szefa ba-
terii, aby ziemniaki kucharz gotował same, a konserwę wydawał na działony, bo
można ją jeść z chlebem, a kto zechce, może dać do ziemniaków. Wypadała
jedna puszka na 8 osób, tak było dawniej. Szef nie zgodził się, tłumacząc, że
ziemniaki można jeść, są smaczne. Wiedzieliśmy dobrze, że sam ich nie jadł.
Na następny dzień z kuchni pobraliśmy zupę i chleb, a drugiego dania nikt nie
wziął. Dowódca kazał zabrać ziemniaki, ale nikt nie poszedł. Zarządzono musz-
trę, co stworzyło jeszcze większe niezadowolenie, posypały się epitety pod ad-
resem szefa. Po musztrze nie zabraliśmy ziemniaków. Na kolację wzięto tylko
chleb. Zjawił się informacyjny z dywizjonu, szukał organizatorów buntu. Nikt
nikogo nie namawiał, obiad był niejadalny, więc trzeba było go wyrzucić i być
głodnym. W końcu zrozumiano, że nie pomoże żadna perswazja i konserwę
dano na działony, ale jeszcze kilka dni gotowano ziemniaki, których nikt nie
jadł. Poradziliśmy gospodarzowi, aby ze zmrożonych kartofli zgotował bimber,
bo do tego świetnie się nadają. Widocznie to zrobił, bo raz poczęstował nas kie-
liszkiem bimbru, który naprawdę był dobry. Później gotowano kaszę i makaron.
Widocznie ziemniaki przekazano do gorzelni, co byłoby najbardziej rozsądne
i gospodarczo uzasadnione.

W Miłosnej zastały nas święta Bożego Narodzenia. W sąsiedztwie w domu
na pierwszym piętrze mieszkało starsze małżeństwo. Mieli duże i ładnie urządzo-
ne mieszkanie. Zaprosili nas na Wigilię, abyśmy mogli spędzić ją w ich domu. Był
to naprawdę wielki wysiłek z ich strony. Szef baterii wielkodusznie zaopatrzył tych
państwa we wszystko, co było możliwe: śledzie, kaszę i coś tam jeszcze. Żołnierze
zgodzili się, aby później uszczuplić normę jedzenia, by na Wigilię mieć więcej.
Nie mieliśmy śniadania wielkanocnego, bo wszystko wtedy spaliło się w wagonie.

Trochę przygotowali żołnierze, reszta należała do gospodarzy. Wieczera
wigilijna była bardzo uroczysta. Najpierw poszedł pierwszy pluton, w którym słu-
żyłem, drugi pozostał przy działach. Zaczęło się, jak zwyczaj każe, od modlitwy,
do której uklękli wszyscy. Potem dzieliliśmy się oplatkiem, składaliśmy życzenia,
no i wieczerza z sianem pod obrusem. Podano kilka potraw, ale pamiętam tylko, że
były śledzie. Przy takiej zastawie stołu siedziałem po raz pierwszy w życiu: porcela-
nowe talerze, talerzyki, srebrne łyżki, noże i widelce. Żołnierz, przyzwyczajony do
kociołka i jednej łyżki, czuje się skrępowany i nie wie, jak się zachować, od czego
zacząć, jak jeść. Ci, którzy bywali na takich przyjęciach, wiedzieli, jak postępować.
Miałem obok siebie szefa, starałem się go naśladować, bo widelec stale trafiał mi

do prawej ręki. Państwo, którzy nas przyjęli, byli bardzo uprzejmi i umieli stworzyć miłą i ciepłą atmosferę. Nieczęsto bywają takie chwile, kiedy człowiek siedząc po raz pierwszy w cudzym domu, czuje się, jakby był we własnym i w gronie własnej rodziny. Skrępowanie ustąpiło, atmosfera stała się rodzinna.

Przeżywaliliśmy uroczyscie po latach okupacji pierwszą Wigilię Bożego Narodzenia w kraju, między swoimi przyjaznymi sobie ludźmi. Śpiewaliśmy kolędy, a znali je wszyscy. Takiego przeżycia nie można zapomnieć. Jednak wszystko, co miłe i dobre, musi się kończyć, chociażby trwało najdłużej. Pożegnaliśmy naszych gospodarzy, trzeba było ustąpić miejsca drugiej zmianie, która dotychczas czuwała przy działach. Poszli na uroczystość wigilijną, zmówili też modlitwę, podzielili się opłatkiem, złożyli życzenia, spożyli wieczerzę, zaśpiewali kolędy.

Usłyszeliśmy silny dźwięk samolotów na zachodzie. Staliśmy na działach, podano komendę (samoloty były blisko): „*Do samolotów ogniem zaporowym!*”. No i zaczęło się! Samoloty zboczyły kursu. Ogień był skuteczny. Przerwaliśmy kolędy drugiej zmiany. Po strzelaniu nie wracali drugi raz do sąsiadów, po cichu śpiewali w ziemiankach. Przed świętami dostaliśmy paczki świąteczne od ludności. Paczek podobno było mniej niż żołnierzy, dlatego podzielono jedną większą na dwie mniejsze. Na paczce było tylko nazwisko i imię bez adresu. Pomimo najszerszej chęci nie mogłem podziękować nadawcy za paczkę. Na stacji Miłosna staliśmy do 17 stycznia 1945 r., do chwili ruszenia ofensywy, kiedy została wyzwolona lewobrzeżna Warszawa. Cała w gruzach, widok straszny, ponury. Takiej tragedii nikt nie jest w stanie opowiedzieć ani opisać.

Styczniowa ofensywa

17 stycznia 1945 roku było jeszcze ciemno, gdy usłyszeliśmy przygotowanie ogniowej artylerii. Ogień prowadzono długo na całej linii, gdzie miało rozpocząć się natarcie. Nie spaliśmy tej nocy, byliśmy ubrani. Wiedzieliśmy, że ofensywa już się zaczęła. Idziemy na zachód! Mamy już wszystko załadowane na samochody. Wisłę przejeżdżamy po moście pontonowym. Ulica była zagruzowana, trudno było się poruszać samochodem. Otrzymaliśmy rozkaz: nie wdawać się z Niemcami w rozmowy ani żadne inne kontakty.

Nie przypominam sobie miast mijanych po drodze. Uderzenie było silne, Niemcy nie stawiali żadnego oporu. Pierwszym miastem, gdzie się zatrzymaliśmy, była Bydgoszcz. Stanęliśmy na rynku. Przed wieczorem dały się słyszeć silne wybuchy. Nikt nie wiedział, gdzie i kto strzela. Dalej pojechaliśmy do Flatów, obecnie Złotów. Zajęliśmy miejsce obok baraku, gdzie mieścił się szpital polowy, byli już tam ranni. Bardzo szybko okopaliśmy działa. Nie trwało to godziny, a już

nawet była ziemianka i piecyk w środku, był przecież luty. Okazało się, że linia frontu oddaliła się od Złotowa, niedaleko za lasem znajduje się zmotoryzowana jednostka SS. Zarządzono alarm, działa doczepiono do samochodów, przygotowano ewakuację szpitala polowego. Ze sztabu dywizjonu dowódca naszej baterii otrzymał rozkaz, wysłać zwiad w teren i ustalić dokładnie miejsce, gdzie znajduje się jednostka SS. Do zwiadu wyznaczył dwóch zwiadowców z baterii Władka Zawadzkiego i Mądryka (imienia nie pamiętam), no i mnie. Dowództwo objął sam szef baterii Tatarski. Otrzymaliśmy dodatkowo poza automatami po 2 granaty ręczne i po 2 przeciwczołgowe. Podeszliśmy pod wieś, z której właśnie wyjeżdżał radziecki samochód z żołnierzami i oficerami. Byli to sztabowcy. Jeden z nich ranny w rękę, miał wyrwany cały mięsień, nieobandażowany, wyl po prostu z bólu. Dowiedzieliśmy się od nich, że Niemcy są niedaleko za wsią (kilka kilometrów). Zostali za linią frontu i są bardzo niebezpieczni. To jednostka SS zdeterminowana i zdolna do wszystkiego. Wcześniej rozbili nasz samochód z ciężkim karabinem przeciwlotniczym, który przed nami wysłano. Zabito też kilku naszych żołnierzy. Poszliśmy do lasu, tam stał rozbity nasz samochód i karabin. W tej sytuacji Tatarski zarządził odwrót. W połowie drogi napotkaliśmy grupę ośmiu rosyjskich oficerów, wracali ze zwiadu. W tym czasie od strony Złotowa nadjechał terenowy samochód. Wysiadł z niego żołnierz ubrany w kozuch, walonki i czapkę zimową. Zwrócił się do oficerów z pytaniem: *Czto u was?* Żaden z nich nie stanął na baczność, nie meldował zgodnie z regulaminem, tylko jeden wyjął mapę i pokazał punkt, gdzie są Niemcy. Określił ich przybliżony stan, jakie mają uzbrojenie i z której strony najlepiej jest ich podejść, okrążyć i nie puścić dalej. Dziwiła nas ich koleżeńska rozmowa. Do przybycia zwracali się: *„Da słuszaj gienieral!”*. Był to generał Szatilow. Zwrócił się do nas z pytaniem: *„Kto u was komandir?”*. Zameldował się Tatarski. Szatilow powiedział, że mamy zawrócić i jeden z nas ma zostać na skraju wsi, a pozostali iść dalej i ustalić, jaka jest sytuacja, czy nie ma innej grupy Niemców. Nocą ma przybyć do wsi bateria artylerii polskiej oraz batalion piechoty radzieckiej i ten, co zostanie we wsi, pokaże drogę, którą mają iść dalej, bo drogi za wsią się rozchodziły. Należało udać się w lewo. Dowódca Tatarski wziął ze sobą dwóch zwiadowców, a mnie wyznaczył, abym został na skraju wsi i pokierował mającą przybyć artylerię i piechotę. Był jeszcze dzień, słońce staczało się ku zachodowi, w końcu nastąpiła noc, zrobiło się ciemno. Czas się dłużył niesamowicie. Wieś była wyludniona, dookoła słychać szmery, z daleka dobiegały odgłosy strzałów. Gdy było całkiem cicho, słyszałem bicie własnego serca. W dzień widziałem mapę, którą posługiwali się radzieccy oficerowie, więc orientowałem się, w którym miejscu są Niemcy. Byli niedaleko. Wyteżądałem wzrok i słuch w stronę, gdzie się znajdowali. Stać na drodze było tak samo niebezpiecznie, jak stać pod domem obok. Bardzo marzęm,

musiałem chodzić, bo stojąc, zacząłem szczerkać zębami z zimna, a może nawet ze strachu. Nikomu zdrowemu nie chce się umierać, szczególnie mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Zazdrościłem kolegom, którzy poszli, było ich kilku, ale i niepokoiłem się o nich. Czas się dłużył, wojsko nie nadchodziło, nasi nie wracali. Żołądek też dopominał się o swoje, nie zdążyłem dobrze zjeść obiadu. Około północy przybyła polska artyleria konna. Jechali bardzo cicho, stanęli niedaleko mnie. Podszedłem do pierwszego, był to dowódca baterii i pokazałem kierunek i drogę w lewo. Powiedział: „*Dobra!*” i po cichu ruszyli dalej. Zrobiło się raźniej, poczułem się bezpieczniej, chociaż dalej stałem sam. Wkrótce nadeszła radziecka piechota. Podszedłem do dowódcy idącego na przodzie. Stanęli, on zaśwycił latarką na mapę, a ja powtórzyłem to samo co polskiemu dowódcy baterii. Zapytał, czy jest już artyleria polska. Gdy potwierdziłem, powiedział: „*Choroszo!*” i poszli dalej, byli to fizylierzy. Czekalem jeszcze chwilę, gdy nadeszli nasi. Wyruszyliśmy do Złotowa. Było dobrze po północy, jak wróciliśmy na baterię. Cała obsługa była ubrana, nikt nie spał do naszego powrotu. Marzliśmy, bo nie palono w piecyku. Dowódca baterii kazał odjechać od dział.

Na drugi dzień rano opuściliśmy Złotów, ruszyliśmy dalej na zachód. Nie staliśmy długo w jednym miejscu, co dzień zmienialiśmy stanowiska, nieraz po kilka razy dziennie. Bardzo często opuszczały nas siły, ale dokąd nie okopaliśmy działa, nikt nie myślał o odpoczynku. Doświadczyła na Darnica. Nowi, którzy dołączyli do nas w Kiwercach na Wołyniu, czasem się buntowali, że niepotrzebnie pracujemy, bo zaraz zostawiamy i jedziemy dalej. Nam jednak wspomnienie Darnicy dodawało sił i nikt nawet nie pomyślał, by zostawić działo nieokopane. Później było Jastrowie, gdzie staliśmy kilka dni. W Walczu zatrzymaliśmy się na dłużej. Następnie staliśmy w Płotach i Gryficach, gdzie drugi raz wyznaczono mnie do akcji. Było to tak: w Gryficach w ciemną deszczową noc na warcie przy naszym działonie stał Franek Górski, który walczył w Hiszpanii, dokąd poszedł z Francji. Prosto na niego wszedł niemiecki żołnierz. Gdy Górski zapytał, kto idzie, ten odpowiedział po francusku, a że Franek znał język francuski, więc się dogadali. Żołnierz miał na plecach karabin, który zdjął. Nikt w ziemiance już nie spał, bo usłyszeliśmy mowę francuską, byliśmy ciekawi, co się stało. Powiadomiono dowódcę baterii, a ten z kolei zadzwonił do szefa dywizjonu, że na baterię trafił żołnierz w niemieckim mundurze. Powiedział on, że w lesie jest ich więcej, a jego wysłano na zwiad. Był zwolennikiem rządu Vichy, który kolaborował z Niemcami. Wstąpił do SS i walczył na froncie wschodnim. O świcie z naszej baterii wyznaczono 7 ludzi, w tym również mnie. Załadowaliśmy się na samochód razem z Francuzem, który wskazał drogę i miejsce w lesie, gdzie znajdowała się reszta oddziału. Stanęliśmy na drodze obok młodego zagajnika świerkowego. Francuz prowadził dalej w las, trzymaliśmy go na muszce. Nikt nie

był pewny, czy mówi prawdę i gdzie nas prowadzi. Wkrótce zobaczyliśmy śpiących żołnierzy. Podeszliśmy bliżej, usłyszeli nas i posiadali. Ich broń wisiała obok na drzewach. Zabraliśmy im karabiny, oni pomału podnieśli się z ziemi, ubrali się i poszli z nami do samochodu. Było ich 8 z lejtnantem. Zawieziono ich do sztabu dywizji. Co było z nimi dalej, nie wiem.

Nareszcie koniec wojny

Z Gryfic pojechaliśmy do Pyrzyc, później Myśliborza, gdzie staliśmy 2 tygodnie. Następnie na lotnisku między Różańskiem a Barnówkiem, stamtąd przez Dębno do Kostrzyna. Po przejściu Odry były miasta Freienwalde, Welten, Nauen, Oranienburg. W Welten staliśmy przy drodze nastawieni do walki przeciw czołgom. Spodziewano się ich od północy, dążących na odsiecz Berlina, który był oblegany przez armie radzieckie i I Dywizję Polską. Do konfrontacji z czołgami nie doszło. Ruszyliśmy na zachód, drogowskaz wskazywał Nauen. Jechaliśmy całym dywizjonem. Okazało się, że jesteśmy poza linią frontu. Była to luka, w którą wpakował się nasz dywizjon. Natychmiast cała obsługa przesiadła się na działa, uzbroiliśmy się w granaty i zawróciliśmy. Udało się, nie doszło do spotkania. Stanęliśmy w Oranienburgu niedaleko kanału, za którym byli Niemcy.

Dwóch żołnierzy z II baterii łódką popłynęło przez kanał, nie wrócili. My też mieliśmy ochotę przepłynąć na drugą stronę, lecz zrezygnowaliśmy z tak niebezpiecznej wycieczki. Na drugi dzień była niedziela. Od samego rana latały nad nami samoloty. Strzelaliśmy bez przerwy, nie mieliśmy czasu, aby zjeść obiad. Jeden samolot został strącony, był to myśliwiec fokewulf. Po tym strzelaniu ani tego dnia, ani do końca wojny nie było samolotów.

8 maja 1945 r. zostawiliśmy stanowiska w Oranienburgu i wyjechaliśmy do miasta Biesenthal, gdzie stanęliśmy przed wieczorem. Już nie okopywaliśmy dział. Było ciemno, jak usłyszeliśmy strzelaninę. Zobaczyliśmy świetlne pociski, lecące w górę. Przyszedł porucznik Zakrzewski, powiedział: „*Chłopczy, koniec wojny! Żołnierze strzelają na wiwat*”. Nie wytrzymali i nasi. Wsiadli na działa i wystrzelali pociski, które mieli załadowane. Strzelaliby jeszcze, lecz dowódca baterii był blisko i nie pozwolił. Z karabinów jednak postrzelali wszyscy.

Cieszyliśmy się jak dzieci. Przeżyliśmy wojnę, koniec ziemianek, alarmów przeciwlotniczych! Świat wydawał się różowy, lżej było oddychać. Na drugi dzień po kilku żołnierzy z działonów i innych służb wsiadliśmy do samochodów i wyjechaliśmy do Berlina. Stanęliśmy niedaleko Bramy Brandenburskiej. Prowadził nas porucznik Zakrzewski, znał Berlin sprzed wojny. Pokazywał, co można było pokazać: Kancelaria III Rzeszy była w gruzach, Reichstag palił się w środku.

W drzwiach stało dwóch żołnierzy rosyjskich, nie puszczali blisko nikogo. Byliśmy w Berlinie do wieczora, później wróciliśmy do Biesenthalu. W nocy wyjechaliśmy na wschód. Stanęliśmy w Gorgaście nad kanałem niedaleko Kostrzyna, po zachodniej stronie Odry. Dopiero w lipcu 1945 r. z Niemiec przyjechaliśmy do Chrzanowa, skąd po kilku dniach razem z grupą 7 osób cały nasz działon wyjechał do Katowic, a stamtąd do Chojny (nazywanej wtedy Królewiec nad Odrą) i dalej do Góralic jako osadnicy wojskowi. Tam poznałem Twoją mamę, z którą w 1946 r. w marcu ożeniłem się.

Opisałem swoje wspomnienia w skrócie, ale chyba trochę z tego rozumiesz. Piszę te słowa w leśnictwie Bogdana na Świętym Krzyżu. Nikt mi nie przeszkadza. Przedtem pisałem w Świerardowie-Zdroju, gdzie byłem w sanatorium. Jak będzie trochę więcej możliwości i zdrowia, opiszę Ci niektóre szczegóły z mego życia. Zostań z Bogiem! Jak otrzymasz, to odpisz.

Ojciec

Piotr Hajduk, ur. 1921 w Bajkach w woj. brzeskim (obecnie na Białorusi). W 19 listopada 1940 r. wywieziony w głąb Związku Radzieckiego. Od 1943 r. żołnierz wojsk przeciwlotniczych I Armii Wojska Polskiego. Przebył szlak bojowy od Darnicy do Oranienburga. Po wojnie jako osadnik wojskowy zamieszkał w Góralicach (gmina Trzczańsko-Zdrój). Był wieloletnim pracownikiem gminy, później m.in. w Kółku Rolniczym, działał w Ochotniczej Straży Pożarnej, w ZSL, kilkadziesiąt lat współpracował z Głównym Urzędem Statystycznym. Otrzymał liczne odznaczenia wojskowe oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Gryfa Pomorskiego i Złotą Odznakę GUS. Zmarł w 1995 roku.

Wspomnienia spisał na prośbę córki Elżbiety



Fot.: Piotr Hajduk (czwarty z prawej) przed żołnierskim namiotem wiosną 1944 r.